



# MŁODY MEDYK

MIESIĘCZNIK STUDENTÓW UMB



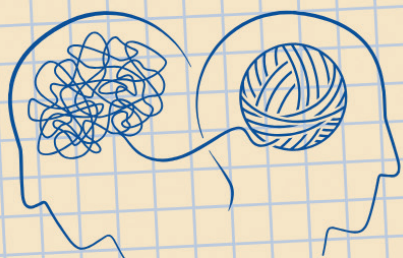
# NIE JESTEŚ SAM/A!

## POMOC PSYCHOLOGICZNA NA UMB

MOŻESZ ZGŁOSIĆ SIĘ DO  
STUDENCKIEGO PSYCHOLOGA  
PRZEZ CAŁY ROK KALENDARZOWY.

MGR MARTA WĘCEK  
TEL. 531 572 361  
PON. - PT. W GODZ. 9<sup>00</sup> - 18<sup>00</sup>

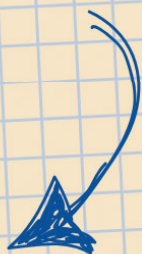
MGR KATARZYNA FILKIEWICZ  
TEL. 507 298 843  
PON. - SOB. W GODZ. 9<sup>00</sup> - 18<sup>00</sup>



CHCESZ, ABY UMB ORGANIZOWAŁO  
WIĘCEJ WYDARZEŃ, WARSZTATÓW Z POMOCY  
PSYCHOLOGICZNEJ?

TY MOŻESZ TO ZMIENIĆ. WYPEŁNIJ ANKIETĘ!

TO TYLKO 5 MINUT, A MOŻE WIELE DAĆ.



JEŚLI CZUJESZ, ŻE POTRZEBUJESZ POMOCY  
LEKARZA, JESTEŚ W KRYZYSOWEJ  
SYTUACJI, MOŻESZ ZGŁOSIĆ SIĘ DO

KLINIKI PSYCHIATRII UMB,  
UL. WOŁODYJOWSKIEGO 2,

DROGĄ TELEFONICZNĄ LUB E-MAILOWĄ.  
PUNKT ZGŁOSZENIOWO-KOORDYNACYJNY

PON. - PT., GODZ. 8<sup>00</sup> - 18<sup>00</sup>

TEL. 85 8317 315 LUB 85 8317 300



Dział  
Projektów  
Pomocowych

  
**MŁODY MEDYK**  
MIESIĘCZNIK STUDENTÓW UMB



**SAMORZĄD  
STUDENTÓW  
UMB**

## Droży Czytelnicy!

To już ostatni numer "Młodego Medyka" w tym roku akademickim. To również ostatni wstępniak, który dla Was piszę jako redaktorka naczelna. Wiem, że czytają go osoby, które są tu ze mną od początku, czyli od 3 lat. Nie wiecie tego, ale kiedy zostałam naczelną, pisząc pierwszego w życiu wstępniaka, myślałam "Matko, jak ja co miesiąc wymyślę coś do każdego numeru? A co jak zabraknie mi pomysłów?". Cóż, jak to w życiu bywa, 99% naszych lęków nigdy się nie spełni. Tak też nigdy nie zabrakło mi natchnienia, żeby podzielić się z Wami okruchami swojego życia. Śmiesznymi, radosnymi, a czasem nostalgicznymi momentami. Ale jednego możecie być pewni. Zawsze pisałam Wam tutaj prawdę i tylko prawdę. Tak będzie i tym razem. Czuję ogrom wzruszenia za te 3 lata. Zostanie naczelną było dla mnie wielkim wyróżnieniem, zaufaniem i jedną z lepszych przygód i podróży, które mi się w życiu przytrafiły. Nigdy nie żałowałam ani chwili spędzonej na spotkaniach z redaktorami, pisaniu tekstów, konsultacjach z grafikami, bieganiu do Pałacu z podaniami czy organizacji naszych wydarzeń. Poznałam wspaniałych ludzi, a Młody Medyk otworzył mi wiele drzwi. Ja dałam Medykowi trochę od siebie, ale dostałam zdecydowanie więcej. Mam w sobie ogrom wdzięczności, w szczególności za moich redaktorów. To wspaniali ludzie, pełni pasji, pomysłów, którym po prostu chce się więcej. Na których zawsze mogłam liczyć, nawet bez proszenia. Sama nie zrobiłabym nic, a razem stworzyliśmy coś wspaniałego - gazetę, którą co miesiąc trzymacie w rękach. Pełną pięknych, przejmujących tekstów, które aż tętnią włożonym w nie sercem redaktorów. Patrzę ze wzruszeniem na Medyka jak na swoje "dziecko", którym z ogromną miłością i zaangażowaniem starałam się zajmować przez te 3 lata. I wiem, że mogę być o nie spokojna, że nie stanie mu się krzywda, bo oddaję je w najlepsze ręce - ręce Tomka. Wiem, że teraz pewnie pytacie "Róża, kto to Tomek"? Zdradzę tajemnicę, bo nawet nie wiecie, że znacie już Tomka i to znacie bardzo dobrze. Knur w kitlu i jego przepiękne, szczerze felietony w kolumnie stałej, to jego teksty (i autorskie rysunki!). Zdolna z niego bestia, prawda? Prawda, wiem, że razem ze mną kiwacie teraz potakująco głową.

Jako że to mój ostatni wstępniak i powiem to trzeci raz, piszę go ze wzruszeniem, chcę podziękować Wam, kochani Czytelnicy. Nawet nie wiecie, jak zawsze było mi miło, kiedy pisaliście do mnie, że poruszają Was nasze czy moje teksty albo słyszałam, że bardzo się z nimi utożsamiacie i czujecie się chociaż trochę mniej samotni, bo "ktoś czuje tak samo jak ja". Dziękuję Wam, że byliście ze mną. Nawet nie wiecie, ile znaczyło dla mnie Wasze każde dobre słowo o naszym Medyku. Jak bardzo dawało wsparcie, motywację i poczucie, że to, co robię, tworzę, ma na Was wpływ. I że warto poświęcić dużo swojego czasu, energii i zaangażowania na tworzenie naszego Medyka. Dla Was było warto i nigdy w to nie wątpiłam.

Odchodzę, ale nie będzie to daleko. Nie odpoczniecie od moich łzawych tekstów, nie, nie, nie.

Ściskam Was ciepło, każdego z osobna

Róża Maria Huszcza

## Spis treści

- 4 EWELINA TRUSZKOWSKA  
**A list of things for the trip**
- 5 KNUR W KITLU  
**Coś się kończy...**
- 5 KATARZYNA STAŃKO  
**Serce**
- 6-7 MATEUSZ MALINOWSKI  
**(...), aby tylko nie bolało – krótka historia początku anestezjologii**
- 8-9 ALEKSANDRA RENIK  
**Films en noir et blanc – dusza kina zaklęta w czasie**
- 10 MAGDALENA ZIEMKIEWICZ  
**Młoda dorosła - Poza bańką**
- 11 ZUZA BOROWSKA  
**Majowe Schodki**
- 12-13 JULIA MŁYŃCZAK - **Nie dla niej żyję - pierwsze zetknięcie z dyskografią Metalliki – cz. 3**
- 13 NATALIA OLSZEWSKA  
**Zaufaj DLA nas  
Ogólnopolskie Zawody Symulacji Medycznej**

Autorką okładki jest: Anna Kożuchowska-Eljasiewicz

Autorką plakatu „Pomoc psychologiczna na UMB” jest:  
Zuza Borowska

### SKŁAD REDAKCJI MŁODEGO MEDYKA:

Redaktor naczelny: Róża Maria Huszcza

Zastępca: Natalia Olszewska

Sekretarz: Wiktoria Żakowicz

Dyrektor Korekty: Natalia Olszewska

Zespół Social Media: Wiktoria Żakowicz

Redaktorzy: Natalia Olszewska, Wiktoria Żakowicz, Paweł Ciura, Miłosz Barańczuk, Piotr Walicki, Miłosz Nesterowicz, Maja Talacha, Tomasz Kredowski, Otton Czajkowski, Julia Majewska, Kinga Grzelińska, Weronika Makowska, Aleksandra Renik, Agnieszka Woźnialis, Ewelina Truszkowska, Zuzanna Borowska, Bartosz Tyszkiewicz, Katarzyna Markowska, Mateusz Malinowski, Jan Kowalski, Magdalena Ziemkiewicz, Katarzyna Stańko, Eliza Szymańska, Hanna Krafzik, Julia Młyńczak.

Korekta: Magdalena Burel, Natalia Olszewska, Wiktoria Żakowicz, Maria Obrycka, Paweł Ciura, Maja Talacha, Miłosz Barańczuk, Julia Młyńczak, Gabriela Góra, Katarzyna Markowska, Jan Kowalski, Bartosz Tyszkiewicz.

Skład i druk: LIBRA-PRINT Daniel Pufawski, ul. Poznańska 36, 18-400 Łomża

Siedziba Główna Redakcji: Dom Studenta Nr 1, ul. Akademicka 3, 15-267 Białystok

mlodymedyk.redakcja@gmail.com

# A list of things for the trip

Does packing for trips always make you anxious? You're not alone. That nagging fear of forgetting something important—we've all been there. But here's the good news: because you're reading this, I can share the perfect solution. Below, you'll find a packing list covering all the essentials. Even better – you can customize it by adding your own must-have items!

## DOCUMENTS & MONEY:

- ID card
- Passport
- credit card
- cash in local currency
- driving license - if you plan to rent a car
- travel insurance documents
- plane tickets
- all necessary confirmations of the attractions or hotel

## ELECTRONICS:

- phone charger
- socket adapter (if necessary)
- camera, extra batteries/ a charger;
- headphones
- power bank
- laptop/ tablet

## COSMETICS & PERSONAL CARE:

- Toothbrush and toothpaste
- Shampoo and conditioner
- Hairbrush/comb
- Face cream
- Body lotion
- High-SPF sunscreen
- Makeup remover and cotton pads
- Deodorant
- Perfume
- Hand sanitizer
- Shaving/depilation items
- Feminine hygiene products (pads/tampons)
- Daily medications
- Painkillers
- Band-aids
- Wound disinfectant
- Wet wipes
- Makeup cosmetics

## ACCESSORIES:

- Sunglasses and contact lenses
- Hat/cap
- Towel
- Hair bands and clips
- Jewelry
- Book
- Umbrella
- Travel pillow
- Reusable water bottle
- Hair straightener/ curling iron/ hair dryer

## SNACKS & WATER:

- Water
- Bars
- Fruits
- Nuts

## CLOTHES:

- Underwear and socks
- Pyjamas
- Swimsuit
- Outerwear
- T-shirts, bodysuits
- Trousers
- Shoes
- Skirts/ dresses



## Pro Packing Hacks You'll Love:

- Put a plastic wrap under bottle lids to prevent leaks
- Pack belts along the edges of your suitcase
- Stuff socks and small items inside your shoes
- Store jewelry in a pill organizer to keep it untangled
- Protect sunglasses in a hard glasses case
- Split cash between different bags in case of a loss
- Wear your bulkiest items on the plane
- Save scanned documents in your phone's secure folder
- Transfer products to travel-sized containers

Bon voyage!

Ewelina Truszkowska

# Coś się kończy...

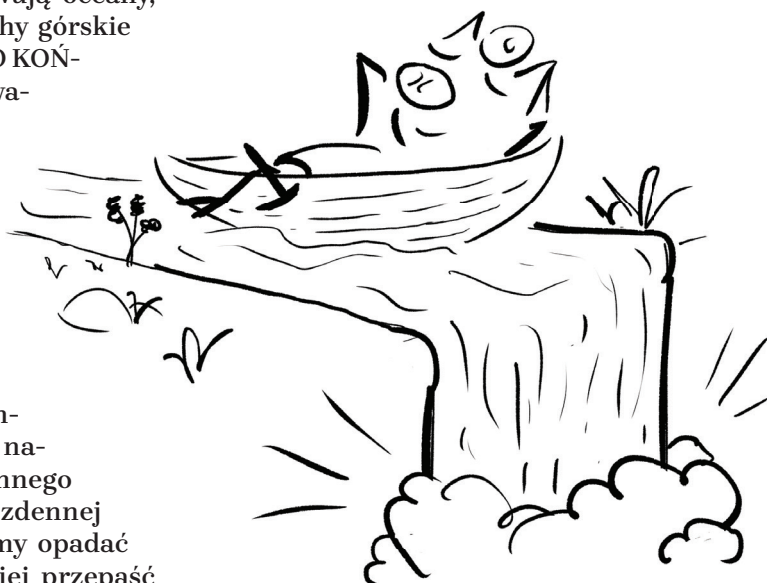
Jakie to straszne słowo: koniec. A jakie potężne! Kończy się wszystko, kończą się wszyscy. Każdy, od murzyńskiego niewolnika do Napoleona, musiał kiedyś zmierzyć się z perspektywą końca swojej podróży przez życie. Wtedy nie pomagają żadne purpurowe szaty, złote trony, spiżowe pomniki; nie mają znaczenia zasługi czy antyzasługi dla świata i ludzkości, nieważne jak wielkie; gasną wieczne płomienie, wyparowują oceany, obracają się w marny piach łańcuchy górskie - w obliczu KOŃCA, OSTATECZNEGO KOŃ-

CA wszyscy jesteśmy dziećmi wezwanymi na dywanik przed stopami surowego ojca, zależnymi tylko od dobrej woli prawdziwej natury otaczającej nas rzeczywistości, bezwładnie podległymi konsekwencjom naszego ostatniego skoku wiary. Tak, tak! Skąd mamy być pewni, że światło naszego umysłu nie przesłania nam tego, co dobrze widać tylko w ciemności? Czy cokolwiek wybaczy nam naszą ignorancję, kiedy nie będzie innego wyboru, jak oddać się w ramiona bezdennej otchłani, kiedy bezwładnie będziemy opadać w czarną, czerniejącą coraz bardziej przepaść zapomnienia? Ciesz się nadzieją przebaczenia dopóki możesz, istoto z prochu i wody, po drugiej stronie litość jest jedynie sugestią...

Kiedy ostatnio w toalecie skończył mi się papier toaletowy, uświadomiłem sobie prawdziwą wartość każdej z dziesięciu chusteczek, jakie przypadkiem miałem przy sobie. Każdej po kolei. Cała paczka, która nie kosztowałaby nawet złotówki, okazała się nie tylko kołem ratunkowym, ale całą szalupą z prowiantem na dwa tygodnie. W tamtym momencie byłem bogatszy niż jakikolwiek miliarder, który nie ma w zwyczaju nosić chusteczek w tylnej kieszeni spodni. Teraz żadna władza na świecie nie zmusiłaby mnie do zrezygnowania z noszenia przy sobie przynajmniej pół paczki. Teraz czuję się świeży, bezpieczny, ważny; jak gdyby gotów na przyjęcie każdego wyzwania, które rzuci mi los. Wszystko to, paradoksalnie, zaczęło się od końca, końca rolki, co prawda, ale jednak.

Koniec, ten przez duże „K”, jest tylko jeden. Nie mamy pojęcia, kiedy nadejdzie i nie mamy nad nim kontroli. Przez większą część naszego życia nie wiemy, jak brutalny i bolesny będzie. Zanim jednak przyjdzie, możemy próbować się do niego przyzwyczajać. Warto zwracać uwagę na inne końce, przez małe „k”, najróżniejszej wielkości. Zazwyczaj kojarzą się z czymś złym, ale są przecież też dobre końce: koniec szkodliwego związku, koniec ciężkiej choroby, koniec totalitarnego reżimu... Te złe mogą być małe i bezbolesne, ale

są też te ogromne i nie do wytrzymania. Są takie, po których załamuje się całe dotychczasowe życie, ale są też takie, po których życie dopiero się zaczyna. Nierzadko jest tak, że oba mieszają się ze sobą i przechodzą przez siebie tak, że granicy między nimi nie sposób wytoczyć. Końców jest masa, ale wniosek jest jeden: końce są i z końca-



mi trzeba żyć.

Jak z nimi żyć? Ja żyję po swojemu. Staram się płynąć dalej, nawet jeśli na horyzoncie lądu brak. Nawet jeśli wiatr jest lichi. Nawet jeśli port miał być trzy dni temu, a końca nie widać. Zwłaszcza, jeśli końca nie widać.

Knur w Kitlu

## Serce

Pomieści wszystko - nie ma żadnego limitu.  
Zniesie wszelkie rany, jakie mu zadasz.  
Pokocha tysiące i utuli każdą z dusz.  
Jest najodważniejsze w całym świecie.  
Kocha bez żadnej obawy, nie używa logiki.  
Nie kalkuluje: Czy miłość się opłaca,  
czy troska ma sens?  
Nic go nie obchodzi, co będzie kiedyś.  
Jest tu i teraz. I chce tylko kochać.

Pozwól, choć czasem,  
dojść sercu do głosu.  
Pozwól mu kochać,  
choć chwilę, bez umiaru.

Katarzyna Stańko

# (...), aby tylko nie bolało – krótka historia początku anestezjologii

Bolesne metody są zawsze ostatnim remedium w rękach człowieka, który wykazuje prawdziwą biegłość w swej profesji; są też pierwszym, a raczej jedynym remedium dla tego, którego wiedza ogranicza się do sztuki operowania.

Od zarania dziejów ból towarzyszył ludzkości, prowokując kolejne pokolenia do poszukiwania skutecznych metod jego łagodzenia. Już około 4000 roku p.n.e. w starożytnej Mezopotamii, Sumerowie odkryli łagodzące ból właściwości etanolu, stosując go jako pierwszy uniwersalny środek znieczulający. Równocześnie uprawiali mak lekarski, z którego otrzymywali opium. Dowodem tych praktyk jest gliniana tabliczka z miasta Nippur, datowana na około 3400 rok p.n.e., w której zapisano przepisy na ówczesne preparaty przeciwbólowe.

Choć nie ma pewności, czy starożytni Egipcjanie znali opium, to pewność mamy, że stosowali ekstrakt z owoców mandragory do łagodzenia bólu. W starożytnej Grecji Hipokrates i Arystoteles odnotowali, że mak lekarski był stosowany jako środek nasenny, choć w praktyce chirurgicznej przewagę zyskał bardziej dostępny etanol. Podczas zabiegów lekarze polegali na sile alkoholu lub, co częściej bywało, na tym, że pacjent straci przytomność w trakcie zabiegu. Gdy każda z tych metod zawodziła, cierpiącemu nie pozostawało nic innego jak wytrwać w bólu, licząc, że najbardziej bolesny etap szybko dobiegnie końca.

W starożytnych Chinach podstawowymi środkami uśmierzającymi ból były napary ziołowe i alkohol. Na tym tle wyróżnia się postać Hua Tuo, chirurga z II wieku n.e. Opracował on tajemniczy proszek mafeisan, prawdopodobnie złożony z kilku rodzajów ziół, który następnie rozpuszczał w winie. Dzięki tej miksturze pacjenci zapadali w głęboki sen, a on sam mógł bez przeszkód wykonywać nawet skomplikowane operacje, na przykład resekcję jelita dotkniętego gangreną. Hua Tuo, kierując się konfucjańskim nakazem szacunku dla nietkniętego ciała, nakazał spalić wszystkie swoje manuskrypty tuż przed śmiercią. Skład mafeisanu i cała

wiedza Hua Tuo zaginęła bezpowrotnie.

Przez wieki cierpiący pacjenci mogli liczyć wyłącznie na napary, alkohol i inne prymitywne środki łagodzące ból. Przełom nastąpił dopiero w 1772 roku za sprawą Josepha Priestleya, który odkrył podtlenek azotu. W 1799 roku podtlenkiem zainteresował się też Sir Humphrey Devy i zauważył pewne właściwości tego związku, które nadały mu później nazwę gazu rozweselającego. Gaz i jego właściwości przyjęły się tak dobrze w społeczeństwie, że zaczęto wdychać go w celach rekreacyjnych, aby wywołać euforię i lekkie halucynacje. Moda na spotkania z gazem rozweselającym zawędrowała do Stanów Zjednoczonych. Na jednym z takich pokazów, gdzie ludzie wdychali gaz rozweselający, obecny był Horacy Wells, który zauważył, że ludzie pod wpływem gazu nie odczuwają bólu mimo poważnych urazów. Fakt ten bardzo go zaintrygował.

Horacy Wells przeprowadził na sobie eksperyment - wdychając podtlenek azotu, kazał swojemu asystentowi Johnowi Mankey Riggowi usunąć zdrowy ząb. Eksperyment i cały zabieg udały się. Wells nie odczuwał żadnego bólu. Zastosował również podtlenek azotu u co najmniej dwunastu innych pacjentów, z których żaden nie odczuwał bólu podczas zabiegu. W styczniu 1845 roku Wells udał się do Bostonu, by wspólnie ze swoim byłym uczniem Williamem Mortonem zademonstrować ekstrakcję zęba w Massachusetts General Hospital. Niestety, przez niewłaściwe podanie gazu, pacjent krzyczał przez cały zabieg. Dopiero po czasie przyznał, że nie pamięta bólu ani momentu, w którym wyrwano mu ząb. Późniejsze badania wykazały, że podtlenek azotu działa słabiej na osoby otyłe i uzależnione od alkoholu, a pacjent należał zarówno do jednej, jak i drugiej grupy. Porażka mocno załamała Wellsa. W kwietniu 1845 roku zamknął swoją praktykę w Hartford, zaczął stronić od ludzi, a jego stan psychiczny gwałtownie się pogorszył.

Tymczasem w październiku 1846 roku Morton przeprowadził w Bostonie pierwszą udaną prezentację znieczulenia eterem. Zraz po tym wydarzeniu, Wells opublikował

list, w którym opisywał swoje udane próby z 1844 roku, próbując w ten sposób ogłosić odkrycie znieczulenia. Na początku 1848 roku Wells przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie prowadził na sobie eksperymenty z eterem i chloroformem. Popadając w nałóg, 21 stycznia, w dniu swoich trzydziestych trzecich urodzin, oblał dwie kobiety kwasem siarkowym i trafił do więzienia Tombs Prison. Po kilku godzinach, gdy działanie substancji osłabło, poprosił strażników o możliwość powrotu do domu po zestaw do golenia. Strażnicy zgodzili się na tę prośbę. 24 stycznia 1848 roku nieświadomy, że Paryskie Towarzystwo Medyczne właśnie uznało go za pioniera bezbolesnej chirurgii i przyznało mu honorowy doktorat, Horacy Wells popełnił samobójstwo, przecinając sobie tętnicę udową po zażyciu dużej dawki chloroformu.

16 października 1846 roku John Collins Warren w Massachusetts General Hospital przeprowadził operację usunięcia guza szyi z użyciem eteru. Pacjent wybudził się kilka minut po zakończeniu operacji, nie odczuwając przy tym żadnego bólu ani nie próbując uciekać. Wieść o bezbolesnych zabiegach i eksperymentach Mortona i Warrena rozniosła się błyskawicznie po całym świecie.

Zaledwie dwa miesiące później, 21 grudnia 1846 roku, Robert Liston wszedł do przepelnionego po brzegi amfiteatru University College Hospital w Londynie, by sprawdzić moc eteru. Sala wypełniona studentami, lekarzami i ciekawskimi, oczekiwała na spektakl. Piętnaście minut przed przybyciem Listona do amfiteatru William Squire, jego asystent zwrócił się do tłumu, prosząc o ochotnika do przeprowadzenia eksperymentu. Nikt z widowni się nie zgłosił, więc zmuszono do tego siłą dozorcę amfiteatru. Wybór okazał się nietrafiony, ponieważ dozorca był bardzo otyły i nie stronił od alkoholu i mocniejszych trunków. Po kilku głębokich wdechach męż-

czynna zerwał się ze stołu i wybiegł z sali, przeklinając wszystkich obecnych. Zrezygnowano z dalszych testów. Ostatecznie na stół operacyjny o 14:25 wniesiono trzydziestosześcioletniego Fredericka Churchilla, kamerdynera cierpiącego na chroniczne zapalenie szpiku kostnego kości piszczelowej.



Pierwsza operacja w eterze Autor: Robert C. Hinckley

Na znak Listona, Squire przyłożył maskę do ust Churchilla. Po kilku minutach pacjent stracił przytomność. Wtedy Squire umieścił na jego twarzy nasączoną eterem chusteczkę do nosa, by mieć pewność, że mężczyzna nie obudzi się w trakcie operacji. Liston sięgnął po prosty nóż amputacyjny. Dwóch asystentów stało w pobliżu czekając, aby w sytuacji niepowodzenia użycia eteru, przytrzymać pacjenta. Chirurg zwrócił się do obserwujących, aby liczyli czas trwania operacji. W 28 sekund dokonał pełnej amputacji nogi. Pacjent nie wydał żadnego, nawet najmniejszego jęku ani nie poruszył się. Chirurg uniósł głowę i z ekscytacją obwieścił „Ta jankeska sztuka bije mesmeryzm na głowę!”, cała widownia wybuchła wiewatami. Wśród niej znajdował się młody student Joseph Lister, który to po latach sam stanie się ikoną i prekursorem aseptyki. Dla obserwatorów tego grudniowego popołudnia stało się jasne, że oto właśnie rozpoczął się nowy rozdział w dziejach chirurgii – kres wieków cierpień pacjentów podczas zabiegów.

Mateusz Malinowski

# Films en noir et blanc – dusza kina zaklęta w czasie

Niektórzy mówią, że kino umarło i produkcje nowe są gorsze jakościowo i „bez duszy”. Prawdą jest, że zapewne już nigdy nie zobaczymy geniuszu na skalę takich reżyserów, jak chociażby Akira Kurosawa czy też Ingmar Bergman. Ja postanowiłam sporządzić krótki przegląd filmów czarno-białych z różnych dziesięcioleci, aby ukazać ewolucję kina. Jestem świadoma tego, że dla wielu kino „bez kolorów” jest mniej atrakcyjne i cieszące oko, jednak chciałabym wrócić do korzeni i pokazać, na czym opiera się kinematografia – na surowych emocjach, mimice, twarzy aktorów. Pomięłam kilka dosyć znanych klasyków, skupiając się na produkcjach bardziej niszowych (choć i tak popularnych) i stawiając na różnorodność, aby każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Zapraszam do lektury i zachęcam również do oglądania.

## „Bulwar Zachodzącego Słońca” (Billy Wilder / USA / 1950 / 110’)



Niespełniony scenarzysta w czasie ucieczki przed swoim wierzycielem trafia do domu zapomnianej gwiazdy kina niemego – Normy Desmond. Proponuje mu ona pewien układ i prosi o pomoc w zakończeniu swojego autorskiego scenariusza. Gloria Swanson jest idealna w roli aktorki, która zazwyczaj gra mimiką i twarzą. Jej monolog na końcu filmu i kontakt wzrokowy z kamerą – arcydzieło. Oglądając „Bulwar Zachodzącego Słońca” czułam się trochę jakbym oglądała starszą wersję „Babilonu”, aczkolwiek nie jest to do końca trafne podsumowanie. Film dotyczy kwestii tego, jak trudno się pogodzić z faktem, że Twój czas już minął. Norma Desmond została dawno zapomniana i wymazana z pamięci środowiska filmowego. Pragnie znowu stanąć w świetle reflektorów, jednak ciężko jest powrócić do miejsca, które już dawno przestało być Twoim „domem”. Jej historia przypomina o tym, jak chwilowa może być sława i jak szybko może przeobrazić się w stan zapomnienia.

## „Harakiri” (Masaki Kobayashi / Japonia / 1962 / 135’)



Film dotyczy kwestię tzw. harakiri bądź seppuku, czyli rytualnego samobójstwa samurajów. Ci, którzy nie mają panów, zatrzymują się na dworach klanów, aby poprosić o możliwość wykonania rytuału na terenie ich posiadłości. Tutaj jednak nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Przed śmiercią jeden z wojowników opowiada historię swojego życia i tym samym pokazuje wady i wyśmiewa kodeks samurajski. Apeluje o to, aby poza twardymi zasadami i regułami panującymi wśród samurajów, patrzeć również na pobudki tych, którzy przychodzą do nich poprosić o pomoc. „Co dziś spotyka innych, jutro może okazać się Twoim losem” – takimi słowami główny bohater próbuje wprowadzić odrobinę człowieczeństwa i empatii w szeregi wojowników. Sceny walki na tle wspaniałych krajobrazów to jeden z wielu atutów „Harakiri”.

## „Człowiek, który śpi” (Bernard Queysanne / Francja, Tunezja / 1974 / 77’)



Film dość specyficzny w swojej budowie. Zawiera składanki scen, ukazujących głównego bohatera i gwarne, hałaśliwy Paryż. Nie ma dialogów, a jednym z dominujących dźwięków (oprócz odgłosów miasta) jest „monolog” osoby opowiadającej. Samo dzieło zostało zrealizowane na podstawie książki Georges’a Pereca o tym samym tytule. Porusza ono tematykę alienacji, wyobcowania oraz braku połączenia z otaczającym światem. Poczucie to ogarnia bohatera jak wirus, porównując nawet osoby z takimi problemami do szczurów, które przemierzają miasto jak labirynt. Wszystko dostrzegasz, ale niczego nie zachowujesz w pamięci. Nie czujesz ani radości, ani smutku. Jesteś nieczuły na piękno i brzydotę. Przestają Cię interesować rzeczy, które kiedyś kochałeś. Istnieje tylko samotność, zawsze naprzeciwko Ciebie, zawsze obok. Wszystkie te słowa to odniesienia do stanu, w jakim znajduje się główny bohater. W filmie pojawiły się słowa o tym, że gdy przestajesz mówić, odpowiada Ci tylko cisza, ale zawsze czujesz miliony słów, które utknęły Ci w gardle.

## „Pies andaluzyjski” (Luis Buñuel / Francja / 1929 / 16’)



Na całe szczęście od szukania i tłumaczenia symboliki uchroniła mnie wypowiedź twórców filmu, którzy zasugerowali, że nic nie symbolizuje w filmie niczego. Dzięki temu mogłam poświęcić kilka cennych godzin na naukę zamiast na intensywną sesję interpretacji „Psa andaluzyjskiego”. Jest to produkcja krótkometrażowa złożona ze scen, które mają na celu szokować widza. Fabuła jest niejednoznaczna, gorączkowo rozpracowywana przez krytyków filmowych z co najmniej 20-letnim stażem. Współtwórcą scenariusza był sam Salvador Dali, postać znana pasjonatom sztuki, a film jest onirycznym rezultatem czerpania pomysłów ze swoich snów. Myślę, że znając już osoby odpowiedzialne za produkcję oraz proces i genezę powstawania „Psa andaluzyjskiego”, nie dziwi jego format. Gorąco zachęcam do obejrzenia - 16 minut w imię zagłębienia się w surrealistyczne kino.

## „Ikiru” / „Piętno śmierci” (Akira Kurosawa / Japonia / 1952 / 143’)



Takashi Shimura ponownie w wybitnej roli. Ciekawostka: w całej swojej karierze obaj panowie (Shimura i Kurosawa) współpracowali ze sobą aż przy 23 filmach! Był to duet magiczny i na pewno będzie uznawany za jeden z lep-

szych w historii kina. Fabuła filmu ukazuje życie urzędnika chorego na raka, który na granicy życia i śmierci próbuje przewartościować swoje ideały i sporządzić rachunek sumienia. Zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie żył pełnią życia i chce to zmienić w ostatnich miesiącach, jakie mu pozostały. Ducha filmu idealnie oddaje pewien cytat, który jakby od niechcenia pojawia się na klatkach - „Ludzie to głupcy. Dostrzegają piękno życia dopiero w obliczu śmierci”. Fantastyczne były ujęcia na twarz głównego bohatera - jego oczy i mimika oraz gra światła ukazały to, co niejedne barwy by zasłoniły. „Ikiru” czy też „Piętno śmierci”, jest idealnym przykładem kina, które pomimo swojej (na pierwszy rzut oka) prostoty, zachwyca i pozostawia po sobie na długi czas przemyślenia i wnioski.

Aleksandra Renik

# Młoda dorosła - Poza bańką

*Niestraszne jest to, co obce, ale to, czego nie rozumiemy.*

Lubimy być jacyś. Wszystkim dookoła powtarzamy, że chcemy być po prostu sobą, ale tak naprawdę, to chcemy być kimś. W ostatnich latach na popularności zyskał test MBTI - jak podaje Wikipedia: *pseudonaukowy kwestionariusz samoopisowy, opisujący postrzeganie i podejmowanie decyzji człowieka*. Po zrobieniu testu przypisuje się nam litery, odpowiadające poszczególnym cechom charakteru i w taki sposób zostajemy sklasyfikowani jako jeden z szesnastu typów osobowości.

*Była to jedna z ostatnich rozmów Walentynkowego Speed Datingu. Nie do końca był w moim typie, ale kiedy postawił krzyżyk przy moim nazwisku, pomyślałam sobie "czemu nie".*

Większość ludzi traktuje to jako zabawę, jednak można wynieść z tego coś ciekawego. Według koncepcji inteligencji wielorakich Howarda Gardniera, możemy być bardzo bystrzy w jednym obszarze, a jednocześnie kompletnie zagubieni w innym. Nie czyni to nas jednak mniej wartościowymi, tylko bardziej złożonymi.

*Odezwał się niemal natychmiast. Zaproponował spotkanie, na które zgodziłam się pójść. Dużo rozmawialiśmy. Wymienialiśmy się poglądami, wiedzą, przemyśleniami. Jako prawnik, potrafił dyskutować. Nie posiadał za to innej umiejętności.*



Może być tak, że dwie osoby z tym samym ilorazem inteligencji będą miały zupełnie różne wizje świata, których nie będą w stanie nawzajem zrozumieć. To dlatego część ludzi krzywi się na samo wspomnienie słowa fizyka, a pozostała część nie jest w stanie dostrzec piękna sztuki. To, co dla jednych jest źródłem historii, emocji, grą barw, linii i cieni, dla innych jest po prostu ładne lub brzydkie.

*Dobra rozmowa nie zawsze oznacza nadawanie na tych samych falach. Czasami miło spędzony czas to miło spędzony czas, a okazanie zainteresowania drugiej osobie to szacunek, a nie motylki w brzuchu.*

Ważne, jak i fascynujące, jest próbowanie. Próbowanie zarówno swoich sił w tym, do czego mamy predyspozycje, ale i próbowanie zrozumienia innych. Wiele konfliktów, kłótni

światopoglądowych czy związkowych wynika z braku zrozumienia. Uważanie siebie lub innych za głupszych, bo czegoś nie rozumiemy, nie ma sensu. To, co ma sens, to zainteresowanie drugą osobą i wysłuchanie tego, co chce nam powiedzieć.

*Na każdym z tych kilku spotkań próbował przekonać mnie, że idealnie się uzupełniamy. Dawał argumenty, świadczące o potencjalnym sukcesie tego związku. Wyteżał umysł, jak tylko potrafił.*

Samoświadomość to talent. To nie tylko coś, co się ma, ale też umiejętność odpuszczania czegoś, czego się nie ma. Przyznanie się do błędu lub niewiedzy całkiem niepotrzebnie traktujemy jako porażkę. To nie porażka, to szansa.

*Skupiając się na racjonalnym tłumaczeniu swoich racji zapomniał, że życie jest wielowymiarowe, a logika argumentu nie zawsze idzie w parze z wygraniem sprawy.*

Szansa na to, żeby zrobić coś inaczej, zapytać o pomoc, dowiedzieć się czegoś nowego, przypomnieć sobie, że wszyscy jesteśmy dużymi dziećmi, a dzieci, i nie tylko one, uczą się poprzez błędy. Życie daje nam szanse, dzięki którym zostajemy zmuszani do współpracy z innymi, a to właśnie współpraca gwarantuje rozwój.

*Nie podobał mi się. Końcówka kropka. Kiedy on był przekonany o naszej kompatybilności, ja byłam zmęczona odrzucaniem jego założeń.*

W szkole najczęściej nagradzani byli pierwsi w nauce. W dorosłym życiu potrzebujemy wszystkich.

Jeżeli coś jest mocną stroną ludzkości to na pewno fakt, że różnimy się od siebie. Posiadamy różne umiejętności i rodzaje inteligencji, które nawzajem się uzupełniają. Ale to od współpracy zależy, jak wyglądają nasze relacje, osiedla i jaki kierunek obiera świat. Warto więc może bardziej skupić się na przekazie kierowanym do nas, a nie wyłącznie od nas.

*Na ostatnim spotkaniu powiedziałam, że więcej się nie spotkamy. Rzucił mi się na szyję i powiedział, że bym go nie zostawiała. Nie chciał zrozumieć, że nie można stracić czegoś, czego nigdy się nie miało.*

W końcu niestraszne jest to, co obce, ale to, czego nie rozumiemy.

Magdalena Ziemkiewicz

# Majowe Schodki

„Zimny kraj, zimny maj” – śpiewała nieodżałowana Kora i słowa te dawno nie były tak adekwatne jak w tym roku. Przyznać trzeba jednak, że pod koniec miesiąca sytuacja się nieco odwróciła, a przynajmniej tak sobie pomyślałam, znalazłszy się w parnej piwnicy Domu Studenta nr 1 w piątek, 30 maja, kilka minut po 20, czekając na majową edycję kabaretu „Schodki”.



Jak to zazwyczaj bywa, główna sala klubu CoNieCo była wypełniona po brzegi, gwarna i obfitująca w czerwone koszulki polo. Wreszcie rozbrzmiały pierwsze dźwięki

„Piwniczki”, a kurtyna rozsunała się, aby ujawnić jeszcze więcej czerwonych koszulek polo.

Następnie przywitał nas już sam Kierownik i oświadczył, iż nie zapowie konferansjerów, ponieważ zrobią to sami. Jak się okazało, niebywale elokwentną konferansjerką uraczyli nas znana z brawurowej gry na perkusji w zespole „Dziewczyny z Piwnicy” Żuzu oraz znany z bycia Elektrykiem – Elektryk. Wreszcie otwierający skecz, pokrywający się z tematem schodków – Minecraft. Byłam naprawdę ciekawa, jak w ogóle połączyć uniwersum tej gry (a teraz już także filmu) ze studiowaniem na uczelni medycznej. Odpowiedź brzmi: pisanie egzaminu w trybie kreatywnym, czyli „musisz sobie wymyślić wszystkie odpowiedzi”. Na szczęście na lekarskim da się ogarnąć na logikę! Zarówno historia, jak i efekty praktyczne (zwłaszcza mikstury mocy) absolutnie mnie kupiły. Do tego poznaliśmy studencką modlitwę na egzaminy: „o, mój święty eskulapie, niech mi coś zaświeci w papie”. Radzę zapisać sobie na wszelki wypadek.

Dla stałych, wieloletnich bywalców „Schodków” nie lada gratką był drugi występ, czyli powrót Izabeli Branickiej, granej tym razem przez Majstra. Nowym bywalcom z pewnością też przypadł do gustu, albowiem niewiele jest na tym świecie rzeczy zabawniejszych niż chłop przebrany za babę. Żebyśmy jednak zawczasu nie powybuchali ze śmiechu, skecz był wierszowany i poruszał smutną tematykę odrzucenia,

jakiego Izabela doświadczała ze strony różnych lekarzy. Pewną zmianę tematyki, ale i tonu, przyniosła nam „Lekcja historii”, jednak po chwili wróciliśmy w studenckie rejony z dość osobliwą renarracją „Dnia Świra” z domieszką „Pawła i Gawła”. Nie mogło też oczywiście zabraknąć akcentu muzycznego. W tych „Schodkach” znalazł się akurat tylko jeden – na melodię „Prawdziwe Powietrze” Alicja zaśpiewała nam, że sesja się zbliża. Mimo tej druzgocącej wiadomości, widownia raczej się śmiała niż płakała, a wręcz dało się usłyszeć improwizowane chórki gdzieś w tylnych rzędach. Dalej zrobiło się już pod górkę, gdyż w odczuciu moim i wielu moich współtowarzyszy, skecze od tego momentu były nieco niezrozumiałe i chaotyczne, przy czym na ostatnich już nikt nic nie ogarniał. Z kronikarskiego obowiązku, pokrótce – przewijały się tam motywy takie jak: Zorro, dużo żartów o kobiecym dekolcie, LEK 2026 bez bazy, jajobus (w odpowiedzi na mammobusy), hymn Jagiellonii, trudny wybór specjalizacji... Jako wisienka na torcie, z jakiegoś powodu dostaliśmy cały skecz o squatach i pewnej odmianie konopii, w którym główną postacią był Robin z Hood. Warto też nadmienić, że po skeczu młodych (z którego już kompletnie nic nie załapałam, ale tutaj zawiniło chyba nagłośnienie), nareszcie została nam zaprezentowana statuetka Pro Juvenes, którą CoNieCo wygrało... w listopadzie. Zwyczajem edycji majowych, miało też nastąpić uroczyste pożegnanie dwóch klubowiczek, ale akurat żadna z nich się nie stawiała w piwnicy, więc zostały im wysłane brawa w eter.

Być może miałam wyższe niż zwykle oczekiwania, sięgając pamięcią kilku poprzednich, bardzo udanych „Schodków”. W moim odczuciu, niestety, ta wiosenna edycja okazała się być nieco... letnia. Niezmiennym pozostaje jednak, że przychodząc do CoNieCo możemy liczyć na unikalną dla tego miejsca atmosferę, dobrą zabawę, a jeśli macie szczęście, to i na fenomenalny bigos.

Zuza Borowska

**Posłuchaj  
tego artykułu**



@scr\_radiosupel



# Nie dla niej żyję

## pierwsze zetknięcie z dyskografią Metalliki, cz.3

Powoli docieramy do celu w mojej pierwszej Metallicowej podróży – z powiedziałabym, szczęśliwym zakończeniem, bo po „St. Angerze” może być już tylko lepiej. Zapraszam Was do lektury!

### ■ DEATH MAGNETIC

Moją pierwszą reakcją na ten album było „O MÓJ BOŻE, JAKIE TO JEST LEPSZE OD ST. ANGERA, O BOŻE W KOŃCU NORMALNA MUZYKA, AHAHAHA WRÓCIŁY THRASHERY, JAKA FAJNA TA PŁYTA”. Pamiętam, że kiedy weszła charakterystyczna dla thrasherów szybka perkusja (co mój chłopak objaśnił później fachowo jako „podwójna stopka”), nie mogłam powstrzymać uśmiechu – przeszłam daleką drogę od czasów „Kill ‘Em All”. Po przesłuchaniu wszystkich piosenek entuzjazm trochę opadł, natomiast „Death Magnetic” dalej zapamiętałam jako dobry album! Na pewno solidne odbicie w górę po poprzednim, instrumenty są znowu dobrze zmiksowane, a głos Jamesa wyczyszczony. Ilość jego „wtrećów”, na które narzekałam w erze Loada i Reloada znacząco zmalała, natomiast dalej śmiałam się z „Luck runs out-AH!” w „All Nightmare Long”. Sposób pisania utworów ustabilizował się na czymś pomiędzy cięższym brzmieniem czterech pierwszych albumów i tym nieco lżejszym Loadowo-Reloadowym – tak jakby thrashowe korzenie wymuszały się z doświadczeniem ostatnich lat i dały bardzo przyjemny efekt pośredni. Coś, co z kolei niestety ucierpiało, to solówki gitarowe – St. Anger nie miał ich w ogóle i Kirk Hammett musiał się za to obrazić, bo już na każdym późniejszym albumie były pisane „na odczepnego”, bez większej myśli za nimi.

Poziom piosenek określiłabym na coś w pobliżu „Czarnego Albumu”: kilka takich, które podobały mi się bardziej („That Was Just Your Life”, „All Nightmare Long”, „The Day That Never Comes”, „Unforgiven III”), kilka takich, które podobały mi się mniej („Broken, Beat And Scarred”, „Cyanide”, „My Apocalypse”), ale wszystkie były „słuchalne”, raczej przyjemne, zwłaszcza kiedy nie skupiałam się mocno na tekstach, które dalej musiały mi być często objaśniane. Nawet „My Apocalypse” zapamiętałam miło – podczas słuchania, na słowa „Death Magnetic” zareagowaliśmy z moim chłopakiem jednocześnie „He said the thing!”, po czym wybuchaliśmy śmiechem.

### ■ HARDWIRED...TO SELF-DESTRUCT

Czy wiecie, że bardzo lubię w twórczości wszelakiej, kiedy mniejsze elementy większej całości łączą się ze sobą jakimś motywem przewodnim, wspólną myślą? Panowie z Metalliki stwierdzili, że wykorzystają to i zrobią „Hardwired”, żeby w ten sposób nabić sobie u mnie dodatkowe punkty (oczywiście to żart, kiedy panowie z Metalliki składali „Hardwired” byłam przed swoim pierwszym przesłuchaniem jakiegokolwiek ich utworu). Jest to pierwszy album tego zespołu, w którym każda piosenka jest połączona z resztą jednym motywem ustanowionym w pierwszej piosence: „Jak ludzkość zmierza do autodestrukcji”. Teksty skupiają się na mrocznej stronie naszego gatunku, jego słabościach, różnych sposobach, na które krzywdzimy siebie samych i siebie nawzajem. Pomysł wspólnej myśli dla całego albumu bardzo mi się spodobał i jednocześnie ułatwił interpretację tekstów, a do tego został świetnie wykonany – to jest po prostu zestaw świetnych kawałków!

Muszę przyznać, że moje pierwsze przesłuchanie miało miejsce tuż po zakończeniu sesji, więc zmęcze-

nie sprawiło, że szczegóły utworów szybko pozacierały mi się w pamięci, a zostało z nich tylko ogólne poczucie: „to był fajny album”. Pisząc te słowa jestem świeżo po powtórcie i z przyjemnością stwierdzam, że nie było na tej płycie jednego utworu, którego słuchałoby mi się źle. Najbliżej tego jest „Murder One” – piosenka napisana w hołdzie dla wokalisty zespołu Motörhead, Lemmy’ego, której tekst nie ma zbytnio sensu, jeśli się nie zna tego kontekstu, ale nie zmienia to faktu, że przy każdej innej piosence dobrze się bawiłam. „Hardwired” i „Moth Into Flame” mają bardzo satysfakcjonujące, szybkie tempo, „Atlas, Rise!” – bardzo ładną solówkę, „Now That We’re Dead” i „Halo On Fire” – piękne, wrażliwe i silne wokale i harmonizację. „Dream No More” to bardzo ciekawy powrót do tematu Cthulhu, który pojawił się już na „Ride the Lightning”, ten utwór tworzy niesamowitą atmosferę. Płytę zamyka „Spit Out the Bone” – jeden z najlepszych thrasherów, jakie usłyszałam w wykonaniu tego zespołu, mistrzowskie połączenie instrumentalizacji, wokali i tekstu, a jednocześnie gorzkie zakończenie dla naszego motywu „Zaprogramowania do autodestrukcji” – maszyny, zyskując świadomość, niszczą wszystko co ludzkie, uważając to za przejaw słabości.

### ■ 72 SEASONS

Ostatnia płyta, ostatni odcinek podróży. Długo się zastanawiałam, czy jest to też moja druga ulubiona płyta, ale ostatecznie musiałam uznać wyższość „Hardwired” – poprzedniczka „Seasonsów” miała po prostu bardziej wyrównany poziom utworów, co nie zmienia faktu, że dalej bardzo lubię i ten album. Jest to kolejny przypadek, kiedy Metallika wybiera motyw przewodni dla piosenek na danej płycie i ten jest dużo bliższy mojemu sercu: „72 pory roku – pierwsze 18 lat życia człowieka, które kształtują jego charakter i przyszłość”. Kilka ostatnich lat minęło dla mnie pod znakiem prób zrozumienia, jak moje dzieciństwo wpłynęło na to, jaką dorosłą się stałam i choć nie wszystkie teksty zarezonowały ze mną osobiście, to dalej doceniam wybór tego konkretnego tematu.

Album zaczyna się całkiem porządnie – „72 Seasons” to dobre wprowadzenie, z mocnym, wpadającym w ucho refrenem, „Shadows Follow” i „Screaming Suicide” mimo mniej porywających melodii ujęły mnie jasnymi i zrozumiałymi tekstami, w które mogłam się wczuć. Potem utwory zaczęły trochę tracić na mocy, „Sleepwalk My Life Away” i „You Must Burn!” były wolne, mniej melodyjne i gorsze tekstowo, zaczynałam się męczyć, ale zdecydowałam się na jeszcze jeden utwór przed przerwą. I to była dobra decyzja, bo „Lux Æterna” było świetnym zakończeniem pierwszej połowy albumu: kojarzył mi się bardzo z utworami z „Kill ‘Em All”, szybkimi, z mocnymi riffami i tekstem głoszącym jedność społeczności fanów muzyki. Słuchając go, miałam przed oczami stadion pełen ludzi, młodych i dojrzałych, którzy na chwilę zapominali o swoich troskach i zmartwieniach, i łączyli się w miłości dla muzyki, w której znaleźli zrozumienie.

Powrót do drugiej połowy albumu okazał się być wyboisty – „Crown of Barbed Wire” i „Chasing Light” były, delikatnie mówiąc, średnie, pod względem i muzyki, i tekstu. „If Darkness Had a Son” trochę poprawiło odczucia dzięki chwytliwemu refrenowi, ale tak naprawdę przekonałam się do tej piosenki już później. Trzy ostat-

nie piosenki to jednak prawdziwa wisienka na torcie – podczas słuchania chłopak zwrócił mi uwagę, że tworzą one pewną całość, zakończenie takie, jakim było „Spit Out the Bone” dla „Hardwired”. Cała trójka jest świetnie napisana tekstowo i muzycznie, bardzo lubię harmonizację solówek i wokół Hetfielda, zwłaszcza w dwóch ostatnich piosenkach. „Too Far Gone?” opowiada o ciąży, jakim jest codzienne życie z ciągnącym się za człowiekiem bagażem z przeszłości, ciągłych zmaganiach z wątpliwościami, czy ten bagaż nie zniszczy go kompletnie. „Room of Mirrors” to moment, w którym otwie-

ramy się przed kimś, komu ufamy, dzielimy się z nim całym tym schowanym mrokiem w nadziei, że nie odrzuci nas po tym. „Inamorata” daje nam rozwiązanie wątku „Seasonsów” i swego rodzaju pocieszającą wiadomość: mimo ciężaru, który niesiemy ze sobą od najmłodszych lat, mimo ran i blizn, które nas pokryły przez życie, nie one nas definiują – nie dla tej niedoli żyjemy. To hasło chcę zabrać ze sobą na resztę swojego życia.

Julia Młyńczak

# Zaufaj DLA nas

## Ogólnopolskie Zawody Symulacji Medycznej

3. czerwca nasi studenci wzięli udział w Ogólnopolskich Zawodach Symulacji Medycznej SimChallenge 2025, organizowanych przez Śląski Uniwersytet Medyczny. W skład drużyny „Zaufaj DLA nas” weszli:

- Kacper Borawski, jako kierownik zespołu (V rok, lekarski)
- Jakub Równy (V rok, lekarski)
- Natalia Olszewska (V rok, lekarski)
- Jan Rytel (IV rok, lekarski)
- Jakub Winckiewicz (II rok, ratownictwo)

Przez cały dzień trwania zawodów zmierzaliśmy się z siedmioma symulacjami, obejmującymi różnorodną tematykę, m.in.: kardiologię, neonatologię, umiejętności miękkie, radiologię czy zdarzenie masowe. Pracowaliśmy na fantomach wysokiej wierności w warunkach SORu. Mieliśmy też okazję ratować pozorantów w terenie.

Nasza drużyna zajęła 5. miejsce na 15 zespołów! Od 4. miejsca (zeszłorocznych mistrzów z SUMu) dzieliło nas tylko pół punktu! Jest to ogromny sukces i efekt ciężkiej pracy ostatniego półroczka.

Najpierw specjaliści techniczni Centrum Symulacji Medycznej, z mgr Hanną Kurzą na czele, zorganizowali eliminacje do drużyny. Spotykaliśmy się, aby poznać sprzęt dostępny w CSMie i zobaczyć, z kim nam się dobrze pracuje. Ostatecznie zostało wybranych 5 osób. To ogromna zasługa Hani, że z grupyi nieznajomych stworzyła zgrany zespół. Dbała cały czas, żebyśmy mieli gdzie i z kim ćwiczyć. Dzwoniła do prowadzących, umawiała terminy, wymyślała symulacje, które dawały nam mentalny wycisk. Za to i wiele więcej jesteście bardzo wdzięczni.

Przez 3 miesiące najintensywniejszych przygotowań zrealizowaliśmy ponad 60 scenariuszy symulacyjnych. CSM był dla nas jak drugi dom: zajęcia kilka razy w tygodniu po 2-3 godziny, a przed samymi zawodami – prawie codziennie. Dzięki tym spotkaniom doświadczyliśmy nauczania nastawionego na praktykę, konstruktywną krytykę i pracę w zespole.

Chcielibyśmy bardzo podziękować osobom, które przygotowywały nas merytorycznie do zawodów. Mgr Klaudia Bielska, dr Adam Jakubowski, lek. Krzysztof Bauer, mgr Grzegorz Łopiński, Krzysztof Bekisz i lek. Leszek Janusz szkolili nas z medycyny ratunkowej; dr Urszula Kościuczuk –



z anestezjologii; lek. Joanna Roslan i lek. Maciej Roslan – z ginekologii i położnictwa; lek. Krystyna Maciorowska – z neonatologii; lek. Włodzimierz Mielech – z pediatrii; dr Katarzyna Roslan – z chorób wewnętrznych; dr Dagmara Bogdanowska-Charkiewicz – z gastroenterologii; dr Katarzyna Klejna – z umiejętności miękkich (protokół SPI-KES).

Szczególne podziękowania kierujemy do lek. Leszka Janusza jako opiekuna zespołu oraz do mgr Klaudii Bielskiej, która ćwiczyła z nami najwięcej i dzieliła się swoim bogatym doświadczeniem z mistrzostw w ratownictwie.

Jesteśmy też wdzięczni prof. Włodzimierzowi Łuczyńskiemu, dyrektorowi Centrum Symulacji Medycznej UMB, za udostępnienie sal do ćwiczeń.

Ogólnopolskie Zawody Symulacji Medycznej SimChallenge 2025 były świetną okazją do sprawdzenia swojej wiedzy i zdobycia bezcennego doświadczenia w pracy z pacjentem symulowanym. Przede wszystkim byliśmy od początku pozytywnie nastawieni, świetnie się bawiliśmy i przypadkowo stworzyliśmy kilka niezapomnianych cytatów. Chyba właśnie dlatego skradliśmy serce głównego sędziego i pozostałych organizatorów (nasza nazwa drużyny i ubiór na pewno nie były obojętne). Mieliśmy też okazję poznać członków innych zespołów, którzy również stawali na głowie, aby dobrze wypaść na symulacjach. Integracja po zawodach na długo pozostanie w naszej pamięci. Do zobaczenia za rok!

Natalia Olszewska